Wiesław Kazanecki "Wiersze", Wydawnictwo "Łuk", Białystok, 1994

NASZA JESIEŃ

już ptak nie uwije gniazda

mur się zawali cegły przed odlotem zapadną w okna

nie podnoś głowy

klucze ulecą w powietrze

każdy po raz ostatni przekręca w zamku dziób

oczy rozwarte na oścież

przeciąg zwala źrenicę z nóg

nie opuszczaj rąk

twarz w dłoniach utrzymaj choć przez chwilę jeszcze

zanim łopot powiek przemieni ją w obcego ptaka.

PRAWDA

wykręcała się

przed samą sobą

aż w końcu

stanęła

naga

w zupełnie fałszywym świetle

ubierano ją

w różne szmatki

zgodnie

z najnowszą

modą

tylko wyrazy

uznania

wisiały na niej

jak na tyłku

źle skrojone

spodnie

podawana za świadka

zaplątywała się

we własnych

zeznaniach

kęs po kęsie

próbowano

ile

można jej strawić

URODZONY 1939

nie masz królestwa ani z tego ni z tamtego świata

nie masz korony z cierni

ni płaszcza z purpury

w twoim porcie z czterech ścian

stoi okręt malowany

w XIX wieku

ręką nieznanego mistrza

nawiedziło cię

kilku bogów

dobre z zamaskowanych tłustym drukiem tytułów

w gazetach

i opłaciłeś

taryfy celne

u bram kilku rajów

patrzysz w lustro

twarz

jak obcy przechodzień znika w tłumie

na maskowym balu

budzisz się

jeszcze daleko do drugiego brzegu

okręt na zwrotnicach wiatru szarpie raz w prawo

raz w lewo

zza burty

na pokład wdziera się wysoka fala

i znowu mydli ci oczy.

Wiesław Kazanecki "Wiersze", Wydawnictwo "Łuk", Białystok, 1994

 MY ZESTARZAŁO SIĘ

MY zestarzało się

Wyrzucone z poezji

Jak z pociągu nazbyt pośpiesznego

Stoczyło się po nasypie

Dogorywa w przydrożnym rowie

Między przystankami

Mijają je poeci

Z biletami pierwszej klasy

W wagonach pierwszej osoby

Stukot kół przeliczają

Na zgłoski i sylaby

Na liczbę pojedynczą

Na szyn wersety

Na zwrotnice torów

NAS już nie ma?

GŁUCHY TELEFON

Niepokoją żyjących.

Wychylają się czasem z fotografii w gazetach

Pożółkłych i zapomnianych.

Próbują jakoś żyć jeszcze.

Przystają na rogach ulic

które niegdyś nazywały się ich imionami.

Nieliczne ich pomniki ocalały gdzieniegdzie

na skutek roztargnienia lub niedbałości potomnych.

Liczę na każdy dzień zwłoki.

Sytość skrzynek pocztowych wywołuje w nich uśmiech

na całą szerokość ośmiopasmowej jezdni.

Aż tyle wysłanych listów!

W środku nocy telefon

budzi mnie z tego snu.

Między szparami podłogi dostrzegam prędko pełznącą

w moim kierunki drzazgę.

Jest lepiej ode mnie uzbrojona.

Posiada własne ostrze

na którym widać wyraźnie tysiące małych zbiorników

wypełnionych jadem.

Moi umarli milczą.

Na co zgadzają się moi umarli

Kiedy milczą?

CHCIAŁBYM PAMIĘTAĆ

Chciałbym pamiętać każdą minutę swojego życia.

Ale dni umierają nagle.

Opaska niewidzialna zakrywa moje oczy.

Nie chciałbym kłamać kiedy mówię: kocham.

Nienawiść moja jest nieszczera.

Brak jej płomiennej chęci zabijania

i radości odwetu.

Nie chciałbym kłamać kiedy mówię: nienawidzę.

Im dalej od prawdy,

tym twarze pewniejsze siebie

i epoletów więcej na mundurach.

Rozkazy coraz głośniejsze

i ludzie jak wykrzykniki

wyprostowani.

I drogowskazy liczniejsze na poboczach dróg.

I wszystkie gwiazdy – przewodnie.

Nie wiem czy mam przyjaciół.

Bo milczenie jest wciąż między nami.

KONIEC EPOKI BARBARZYNCÓW

Daleko zaszedł barbarzyńca. Zawsze ufał swej sile.

Kiedy był słabszy – ginął. Gdy zwyciężał, maszerował

wciąż dalej, aż ku klęsce. Czcił największych zbrodniarzy,

nazywając ich geniuszami wojny. Stawiał pomniki

chwalcom rzezi, gwałtów i pożarów, nazywając

ich geniuszami poezji. Zabijał w imię sprawiedliwości,

jakby krew ludzka mniej była sprawiedliwa od jego

kodeksu praw.

LIST NA SREBRNE WESELE

Śpisz skulona, kołdrę jak skrzydła owinęłaś dokoła

szczupłych ramion. Wyrzekłaś się lotów wysokich

i szczęśliwych gwiazd. Teraz skrzydła ochronią cię od

chłodu, kiedy jesień bezsenna wałęsa się pod oknami.

W twoich włosach widzę srebrzyste koleiny.

Czy jesteś szczęśliwa?

Szepczę te słowa cichutko. Chciałbym być chociaż

różą, zza której uśmiechasz się do mnie na starej

fotografii.

Lecz zostały z niej tylko zmarszczki na tarczy

zegara.

MOJE RODZINNE MIASTO

 Wyrosło już z grzechotki konnego tramwaju.

 Kiedy próbuje stawiać siedmiomilowe kroki

na swych króciutkich nóżkach, kołyszą się ulice,

jak kładki zawieszone między epokami.

 Dźwiga na plecach swój przydrożny bagaż:

głaz z lodowca strącony, z napisem: „środek Europy”.

 Dlatego mówią o nim,

 że trochę garbate.

1987, w Białymstoku

FOTOGRAFIA - STARY BIAŁYSTOK

Ale nie ma już miasta

z zaułkami wśród drewnianych sztachet,

z dachówkami, które łatał śnieg,

i kocie łby w jarmułkach

kłóciły się

z obręczami wozów w dzień targowy.

I nie ma szpitala,

który słyszał mój pierwszy krzyk,

pępowina odcięta,

gruzami zarósł dach.

Nadwęglone chałaty

zbierają się o zmierzchu,

siedmioramienny świecznik otulają poświatą księżyca,

jak paciorki różańca liczą żebra synagogi spalonej.

marzec 1987

CIENIOM STAREGO DOMU Z ULICY BEMA NA PIASKACH

Bądź pozdrowiony przyjacielu,

ulicznych latarń utrapieńcze.

Z lejcami wiatru w smagłych dłoniach

u moich dróg rozstajnych klęczysz.

Bądź pozdrowiony stary druhu,

zaułków miejskich włóczykiju.

W półmroku twych pożółkłych skroni

jest ślad po domu – sień niczyja.

Nie ma już domu, nie ma ścian,

latawiec – dach się zawieruszył.

W niczyim oknie czyjaś twarz –

prastara urna – śmiechem prószy.

1987, w Białymstoku

ULICA BEMA 1987

Stary cmentarz przy Bema

złożył kości na placu targowym.

I dom jak łódź Charona

popłynął na drugi brzeg.

I kocie łby na ulicy

pod asfaltem usnęły.

Biały kogut nie mieszka na drzewie.

Ukradli go,

białe pierze

w cudzej poduszce śpi.

Marzec 1987

KOŚCIOŁ JAK TULIPAN WYSOKI

Kościół jak tulipan wysoki.

I Matka Boska na wieży

wyrzeźbiona z obłoku.

Dziewczyna w niebieskiej sukience

szła po schodach na poranną mszę,

święty Roch ją prowadził za rękę.

Pamiętam tylko długie jasne włosy,

zasłaniały mi ołtarz,

jak złocista altana

pośrodku nieba.

Marzec 1987

CHODZĘ TWOIMI ULICAMI, MIASTO

Miasto

porusza się jak pierwotniak – pantofelek.

Rozmnaża się przez podział.

Wyłania

z siebie

wciąż nowe dzielnice.

Porusza się skokami:

na jeden rzut kamieniem,

z którego wyrasta z wolna skorupa domów.

I wchłania w siebie ludzi byle jak, kęs po kęsie.

Chodzę twoimi ulicami, miasto.

Jesteś mi potrzebne jak odrobina szaleństwa,

które grozi katastrofą,

ale nadaje sens życiu

URODZIĆ SIĘ PO RAZ DRUGI

Miasto w którym chciałbym urodzić się po raz drugi

nie ma jeszcze swej nazwy.

Pożycza imiona ze wszystkich języków świata,

przebiera między nimi, kaprysi, odrzuca.

Miasto którego nie ma

może pozwolić sobie na długie czekanie.

Nie dosięgnie go stado rakiet,

nie zburzy trzęsienie ziemi,

nie zawładnie nim uzurpator.

Najbezpieczniej urodzić się w mieście które nie istnieje.

Wiadomości z gazet nie dotyczą go

Wyscig zbrojeń nie znajdzie w nim swojej mety.

SPLĄTANE SĄ NA ZAWSZE: DZIEŃ, MIASTO I MOJE CIAŁO

Moja śmiertelność wydaje mi się łaską,

gdy kartki

z przemówieniami

sypią się z wysoka.

Chciałbym przeżyć swoje lata w miłości i prawdzie.

Nie śmiejcie się!

Chciałbym

zbudować dom

z czułych gestów.

Zimą ogrzewać go dobrocią,

latem ocieniać skrzydłami

ptaków niebieskich.

Życie na klęczkach nie jest warte życia.

Może kiedyś powróci miłość i wszystko będzie trudniejsze

niż przedtem,

bo tylko ona wie o istnieniu człowieka.

NIE CHCIAŁBYM PRZEJŚĆ DO HISTORII

Nie chciałbym przejść doi historii.

Chciałbym pozostać z tymi,

Co przed jej progiem zasnęli.

Wspiąłbym się na dzwonnicę

i ukradł serce dzwonu,

i oddał je człowiekowi,

by już nigdy nie zaznał trwogi.

Moje serce uderza jak pokorny zegar.